

IRENE BURES.

Zil=X...

tłumaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

6)

A sprzeciwiać się mu nie chciałem i nie mogłem. Dziwna powaga i władza wydzielala się z tego małego, chudego człowieka, zachowującego się zawsze z taką energią i faktem. I kiedy pomyślę o władzy i wrażeniu jakie wywierał na obecnych, wierzyć nie mogę, żeby zginął w walce z jakim ściganym zbrodniarzem. I teraz, kiedy siedzę przy biurku swoim zajęty pisanem, mam ciągle wrażenie, że drzwi się nagle otworzą, Dalton wejdzie, usiądzie bez słowa w fotelu i zapali papierosa.

Włóczęga.

Kiedy więc oddałem notatkę w redakcyi, wyszedłem prędko i wskoczyłem do automobilu. Ale zdziwiony zostałem, kiedy poznałem, że szofer kieruje się inną stroną niż Rainey.

Dalton był mi powiedział:

— Automobil odprowadzi cię tutaj:

Uważałem więc za zbyt cenne informować szofera co do powrotnej mojej drogi. Ale teraz widziałem, że źle uczyniłem, spuściłem więc szybę i zawołałem:

— Proszę natychmiast wracać do Rainey!

— Niech pan tak nie krzyczy głośno — odpowiedział, spokojnie szofer. — Mamy jeszcze czas powracać do Rainey!

— Gdzież mnie wleziecie?

— Do pana.

— W tej chwili policyant jakiś ruchem ręki wstrzymał automobil. Szofer pochylił się lekko i wyrzekł półgłosem.

— Jadą za nami. Zawiozę więc pana na ulicę Assas. Tam, zapłaci mi pan i wejdzie do siebie. Ten, który nas goni będzie chciał z panem mówić i zadzwoni do pana mieszkania. Na pierwszy dźwięk dzwonka wyskoczy pan oknem na ulicę i pobiegnie do pierwszej kawiarni na rogu. Tam zaczeka pan na mnie.

Zrozumawszy każde słowo odpowiedziałem: „Dobrze” i natychmiast patrzeć zacząłem przez tylne okienko pojazdu. Ujrzałem rzeczywiście jakiś automobil, który nas ścigał.

W kilka chwil później znaleźliśmy się na ulicy Assas.

Zeskoczyłem prędko, podałem srebrną monetę szoferowi, który ją wziął i udał, że mi wraca jakieś drobne pieniądze. Ale równocześnie wcisnął mi do ręki maleńki kluczyk. Wszedłem do domu, otworzyłem drzwi kluczykiem i czekałem.

Prawie natychmiast rozległ się dźwięk dzwonka.

Wówczas pobiegłem do okna i z łatwością przeskoczyłem je. Pobiegłem potem do kawiarni na rogu tak, jak mi wskazał szofer i ukryty za rozłożonym dziennikiem czekałem na jego przybycie.

Po upływie piętnastu minut szofer mój nadjechał wsiadłem więc i pospieszyliśmy do Rainey. Ku mojemu zdziwieniu szofer nie podwiózł mnie do wili. tylko na róg ulicy, do jakiejś restauracyi maleńkiej gdzie znalazłem Daltona zajądającego z apetytem.

— I cóż? — zapytał mnie ledwie usiadłem przy nim, w malej odosobnionej salce.

— Oddałem notatkę. Ale przybywam trochę późno bo ścigano nas.

W krótkich słowach opowiedziałem mu zajście.

— To prawdopodobnie reporter z „Burzy” — odpowiedział Dalton. — Nie mogąc znaleźć mordercy, chciałby w swej ręce trzymać choćby defektywa. Służący mój kazał ci czekać w kawiarni na rogu, bo tam nie zaglądają nigdy dziennikarze. Niema tam telefonu.

— Ale gdyby byli gonili za nim?

— Nie goni się nigdy pustego automobilu. Gdyby tak się stało, szofer udaje się do pierwszego postoju i tam go nikt już nie rozezna.

— Cobądź „Burza” zna teraz twój adres.

— Phil Dziś, czy jutro — niedbale wyrzekł Dalton. — Czy to nie wszystko jedno.

W pół godziny później wyszliśmy z restauracyi.

— Uczynię ci jedną uwagę — odezwał się Dalton. — Jeżeli będziesz zmuszony mówić do

mnie, mów tylko rzeczy najpotrzebniejsze. Jeżeli zaś możesz zamilknąć, lepiej stokroć będzie.

Szliśmy więc w milczeniu przez długą ulicę przyozdobioną z obydwu stron ładnymi willami. Spojrzałem w końcu, że domy stają się coraz rzadsze. Wkrótce znaleźliśmy się poza Rainey, na drodze. Po jakimś czasie dostrzegliśmy hangar a przy nim niewielki pawilon. Odgadłem, że musi to być miejsce zamieszkania Jerzego Damblesa, awiatora. Pawilon ten stał samotnie, pośród pól. Otaczał go wokoło mur średniej wysokości. Hangar przylegał do muru, pawilon zaś wznosił się o jakie sto metrów od bramy wejściowej.

Po drugiej stronie drogi był krzak gęsty bardzo i rozłożysty. Poszliśmy się tam ukryć. Dalton milczał zawzięcie, a ja również starałem się go naśladować. Jak dwa nieruchome cienie, czekaliśmy z godzinę w gąszczu krzaka. Nagle, usłyszeliśmy głuchy łoskot zamykających się drewnianych drzwi — potem dobiegł nas dźwięk czysty i donośny i w końcu furka ogrodu zgrzytnęła na zawiasach. Ten, który je otwierał czynił to z wielką ostrożnością bo zgrzyt się przedłużał sfilumiony.

Nakoniec na drodze rozległy się powolne uderzenia kopyt końskich.

Pochyliłem się, starając się dojrzeć, nie będąc odkrytym, co się dzieje na drodze.

Dostrzegłem człowieka prowadzącego konia za uzdę. Zamknął furtkę z wielkim staraniem, wskoczył na siódło i odjechał powoli. Lecz po upływie dwu minut dobiegł nas tenent galopującego konia.

— Teraz mamy parę chwil wolności — wyszeptał nareszcie — Dalton. Nie sądzę, aby o tej porze pan Jerzy Dambles wyjechał tylko na krótką przechadzkę.

— Czy jesteś pewnym, że to był Jerzy Dambles? — zapytałem.

— Oh! — w zupełności!

— Najwidoczniej pragnął zachować się cicho.

— Oh! to nie dla nas. I także nie dla mieszkańców Rainey, którzyby nie mogli dosłyszeć ze swoich domów zgrzytu furtki, ani tenentu konia. Ta ostrożność zachowana była dla kogoś, który się obecnie znajduje w pawilonie. A ja się już upewniłem. Jedną tylko osobą znajduje się w pawilonie — służący.

— Służący?

— Tak. Jerzy Dambles nie życzy sobie aby służący jego wiedział, iż tej nocy wyjeżdżał na koniu. Ah! mruknął Dalton. Nie bardzo to przyjemnie siedzieć będzie za tym krzakiem przez dwie godziny. Tak, mój kochany. Najmniej dwie godziny. Jedną miejscówkę gdzie prawdopodobnie udaje się Jerzy Dambles, znajduje się o czternaście kilometrów stąd, a druga o piętnaście. Koń jego jest dobry. Ale nie robi więcej jak piętnaście kilometrów na godzinę. Irzeba także doliczyć jego zatrzymanie się tam. Umilkł na chwilę i znowu mówił dalej.

— Czy zatrzyma się tam krótko, czy dłużej? Oto co bym bardzo chciał wiedzieć.

Spojrzał na zegarek i mruknął:

— Jest dziesięć godzin. Musimy tu czekać do północy. Czy chce ci się spać?

Odpowiedziałem, że wcale nie byłem jeszcze senny. Rzeczywiście umysł mój był zaprzatnięty tajemnicami tej nocy, że sen był odemnie bardzo daleki.

— Doskonale — odparł Dalton. — W takim razie ja zasnę. Ty pilnuj drogi. O północy, jeżeli dotąd nie wydarzy się nic nowego, obudzisz mnie.

— Dobrze.

Wyciągnął się na trawie i wkrótce zasnął głęboko. Ja zaś siedziałem bez poruszenia. Po upływie godziny może dosłyszałem kroki na drodze. Wychyliłem się z krzaków i zobaczyłem starego człowieka, pochylonego nisko, w łachmanach na grzbiecie. Zatrzymał się przed domem, usiadł pod murem i zdjął torbę, którą miał zawieszoną na szyi. Wyjął z niej coś, czego dobrze dostrzec nie mogłem — zapewne kawałek chleba, i jeść zaczął. Skończywszy wyciągnął się na ziemi i zasnął.

Obserwowałem skrupulatnie wszystkie jego ruchy. Lecz nie uznałem za potrzebne budzić Daltona, że jakiś włóczęga śpi pod murem pawilonu na publicznej drodze.

Nic się nie poruszało wokoło nas. Nawet wiatr najłżejszy nie poruszał liśćmi krzaka, pod którym byliśmy ukryci.

Czas upływał w niezmaconej niczem ciszy. To czuwanie bezowocne sprzykrzyło mi się

w końcu. Zapomniałem o tajemniczej sprawie senatora Poivrer i myśleć zacząłem o swoim spokojnym sypialnym pokoju, oświetlonym jedną dyskretną lampką. I pomyślałem także o niepokoju mojego służącego, którego długa moja nieobecność niemało dziwić musiała.

Nagle usłyszałem jakiś szmer w oddali. Po krótkim czasie rozpoznałem, że to tenent konia. Wyciągnąłem zegarek i z trudem dopatrzyłem się kierunku wskazówek. Było dziesięć minut po północy. Doiknąłem więc lekko Daltona, który się natychmiast obudził. Chciał mówić. Ruchem ręki nakazałem mu milczenie i pochylając się ku niemu szepnąłem.

— Ostrożnie! jakiś włóczęga jest na drodze.

Dalton wyprostował się nie czyniąc najmniejszego szelestu i ukląkł za krzakiem. Wkrótce na drodze ujrzeliśmy jeźdźcę. Koń szedł siępa, przed bramą zatrzymał się.

Jeździec zeskoczył i ostrożnie otworzywszy furtkę, wprowadził konia.

Przeczekałszy jeszcze kilka minut. Tak jak przedtem drzwi jakieś zawarły się z trzaskiem i zaległa cisza. Nagle włóczęga, który dotąd zdawał się drzemać, powstał, podszedł do furtki i szybko uchwyciwszy się żelaznych prętów, drapać się do góry zaczął.

I równocześnie prawie rozległ się przy mnie szelest gniecionych traw i Dalton jak piłka skoczył naprzód, na drogę, uchwycił włóczęgę w pół ciała ciągnąc go z całej siły ku ziemi. Włóczęga z okrzykiem bólu puścił żelazne pręty i upadł. Dalton już siedział na nim i owijając twarz nieznajomego workiem, silnie wiązał jego ręce i nogi. Stało się to tak szybko, że zaledwie doskoczyłem do niego cała operacja była już prawie gotowa.

Biały arab.

Kiedy włóczęga znalazł się w stanie zupełnej bezwładności i przez dobrze związany worek pozwolić sobie tylko mógł na kilka głuchych mruknięć Dalton ujął go pod ramiona, ja zaś za nogi i przenieśliśmy go za krzak, który był punktem naszej obserwacyi.

Nie wyrzekliśmy ani słowa. Po złożeniu jednak naszego ciężaru Dalton pociągnął mnie na drogę szepcąc cicho:

— Chodź za mną.

Skierował się ku furtce i w ten sam sposób jak włóczęga uchwycił się szczebli. W kilku sekundach znajdował się po tamtej stronie w ogrodzie.

Wówczas i ja szybko uczyniłem to samo.

Dalton schylił się i szedł ku małemu budynkowi, który musiał być stajnią. Naśladując we wszystkim ruchy mojego przyjaciela, przyczołgałem się także do stajni. W pawilonie wszystkie okna były ciemne i zamknięte. Długą chwilę Dalton męczył się nad otwarciem drzwi; ustąpił w końcu.

Było tak ciemno, że absolutnie nic rozróżnić nie mogłem. Dalton jednak zapalił nagle małą elektryczną lampkę i prosto bez wahania podszedł do stali, gdzie stał koń skubiący siano.

Było to piękne zwierzę, arabka czystej rasy, nieduża lecz silna o cienkich pocinach i wielkim, mądrem oku. Przybliżyłem się. Koń był cały mokry od potu, piana płasmi spływała z jego pyska, a nogi jego drżały silnie ze zmęczenia.

Dalton starannie obejrzał zwierzę — poczem zgasił nagle latarkę i szepnął:

— Wyjdźmy!

Przedostaliśmy się znowu przez żelazną furtkę na drogę, ale zaledwie doiknąłem nogą ziemi, kiedy rozległo się donośne rżenie i tenent galopującego konia. Koń wypuszczony ze stajni biegł po ogrodzie, jakgdyby za jakimś śladem:

Równocześnie otwarło się jedno z okien pawilonu i kroki jakieś zagrzypiały po żwirze alei. Ktoś szedł. Prędko przypadał mi pod mur, ukrywając się jak można było najlepiej.

Po chwili dobiegł nas głos zirytowany:

— Ah! ty bestyo! Znowu się urwałaś? co? Chodź tu. Chodź tu zaraz... słyszysz...

Krótkie milczenie i znowu ten sam głos zdziwiony.

— Ah! cóż to znowu? Gdzieżeś ty latała żeby się tak spocić! Cała mokra szelma! Stoisz ty! stoisz!

Na głos ten rozwarło się drugie okno pawilonu i inny głos zawołał:

— Co tam Izidorze!

— Proszę pana, to bułanka znowu się urwała!

Ciąg dalszy nastąpi.